O RÓŻNOŚCIACH
CZĘŚĆ 17

Ostatnio wiele się mówi i pisze o nadchodzącej III wojnie światowej (przewidywania, symulacje, plany, gry, hipotezy, prognozy itp.). Po co tyle pisania i gadania. Ja krótko.
Chiny walą w Taiwan, a Rosja w NATO (myślę o ciosach nuklearnych). NATO odpowiada Rosji. Korea Północna uderza w Koreę Południową. Na Iran lecą izraelskie pociski. Indie obrzucają bombkami Pakistan, a ten im się odwzajemnia. Inni się gremialnie przyłączają. Wszyscy walą już we wszystkich. Nikt nikomu z braku czasu żadnej wojny nie wypowiada, tylko rąbie na oślep. W końcu Stany Zjednoczone prują powietrze rakietami zmierzającymi w kierunku Rosji, a ta oczywiście odpowiada na potęgę (tu nawiązuję do popularnego w sieci zwrotu). Obiecałem, że będzie krótko. No to jeszcze chwila i następuje cisza. Nikt już nikogo nie okłada, bo nie ma czym. Wypstrykali się do cna. A ewentualnie ci, którzy pochowali się w różne „dziury", czasami już wcześniej dla nich przygotowane, albo ci na tzw. ostatnim wydechu, zastanawiają się: i po co to wszystko było? Wlewam trochę optymizmu w tę koszmarną wizję. Umęczona przyroda, niszczona przez największego w dziejach Ziemi szkodnika, powoli wraca do życia.

Przejrzałem niedawno kilka witryn internetowych o tym, co robić w razie wojny. Na razie to takie pobrzękiwanie szabelkami. Putin straszy nas dronami. Strachy na Lachy. Rewanżując się, powinniśmy go zdrowo popędzić. Hajda na koń! Już raz Moskale porządnie oberwali i do dzisiaj ten epizod pamiętają. Było to wprawdzie dawno temu, ale historia lubi się powtarzać. No, ale jak już zaczną nas napastować na dobre, to co robić? Oto moje plany.
Wariant pierwszy. Najpierw schodzę do piwnicy. Solidnie zbudowany PRL-owski budynek, więc chyba nie zawali się całkiem, bo wtedy po mnie. Biorę puszki, wodę do picia i parę innych produktów niskowęglowodanowych. Problem z kotami, o ile byłyby akurat na zewnątrz. Wszystko w ręce, najwyżej parę razy obrócę. Martwiłbym się tylko jajkami. Nie zdążyłbym ugotować.
Wariant drugi. Proponują załadować plecak, do niego to i tamto upchać. Nie mógłbym za dużo, bo pod jego ciężarem zaszedłbym zaledwie do pobliskiego parku Kościuszki. Niedaleko (około 100 m) jest kanał, w którym mieszkali bezdomni. Tam bym się z bidą dowlókł. Ale go już przykryli na amen. Głupole, nie potrafią nic przewidywać, a to świetne miejsce na przetrwanie. Wziąłbym z sobą oczywiście koty. Iga jest łowna, to polowałaby w kanale na szczury, tak jak kiedyś Psotka. Może jakoś byśmy przeżyli. Blisko, więc mógłbym wracać, uzupełniać zapasy i nie wiadomo, jak długo by się ta cała zawierucha na górze ciągnęła.
Wariant trzeci. Biorę gotówkę, pędem na dworzec kolejowy i na lotnisko w Pyrzowicach. Z ulgą lecę na Fidżi bądź Tuvalu. Właśnie tam, jak piszą, jest najbezpieczniej.
Wariant czwarty. Trzask, prask i po mnie, i po kotach. Nie tylko. Tym już nie będę się specjalnie martwił. Na tamtym świecie, jak by chcieli niektórzy, też da się pożyć. Uwidim. Na razie tyle. Jeśli coś się zmieni, to i ja zmienię plan i o tym doniosę.

Gwiazdy i gwiazdorzy nie opuszczą mnie z pewnością do końca życia. Namnożyło się ich niemiłosiernie. Rozświetlają media internetowe na pierwszych, a także na ostatnich stronach. Nie chcę powiedzieć, że te na końcu świecą słabiej. W dalszym ciągu mylą się prawie wszystkim „gwiaździste" rozróżnienia. Pisałem na początku, że gwiazda to ona, a on gwiazdorem powinien być. Ale gdzie tam. Panie nigdy nie są nazywane gwiazdorami, a panowie często są gwiazdami. Nie widziałem jeszcze, żeby przykładowo Dodę nazwano gwiazdorem (i tak jest dobrze), a Ronaldo bywa zamiennie raz gwiazdorem, a raz gwiazdą (i tak jest źle). Sprawdzam w AI. Co się pojawia: „Tak, Cristiano Ronaldo jest powszechnie uważany za gwiazdę." No proszę, nawet AI się myli, skierowując ciekawskich na niewłaściwe strony. A to od niedawna wstępująca na „firmament internetowy" największa jego gwiazda. Błyszczy wszędzie na początku. Ile mogę przekonywać, przemawiać do rozumu. Doda to gwiazda, a Ronaldo to gwiazdor, a nie gwiazda, i koniec.

W 2024 roku ukazała się książka Petera Atti Żyć dłużej. *Nauka o długim życiu w zdrowiu*. Ten to wymyślił. I trafił. To hit. Mają ludzie głowy do interesów.
A oto inny, równie dobry, a nawet lepszy tytuł: *Jak nie umrzeć?* Poszukam, co na ten temat nauka. Walę klawiszami w Google. A tu jest książka Jany Garavaglii *Jak nie umrzeć. Radzi patolog sądowy*. To jakaś podpucha. Już pierwsze spojrzenie na tytuł wywołuje nieodpartą chęć zajrzenia do niej. Przecież wszyscy wiedzą, że muszą umrzeć, a tu propozycja nie z tej ziemi. Jeszcze są inne o takich samych tytułach, niestety z dokładką np. „przedwcześnie", a to już nic ciekawego. Sięgnąłem po obie.

Amerykanie zaśmiecają wszystkie media. Tak na dobre rozpoczęło się to chyba parę, a może kilkanaście lat temu. Większość kanałów telewizyjnych została już przez nich opanowana. Muzyką popularną świat podbili dawno. Ostatnio nie mogłem którejś nocy spać. Włączyłem radio. Przeskakuję przez kilkanaście programów, a w nich wyłącznie anglojęzyczne, małowartościowe, produkowane masowo utwory. Mam w swoich zbiorach muzykę z całego świata i specjalnie się muzyczną szmirą nie przejmuję. Taką tandetą karmią słuchaczy, podobnie jak słynnym McDonaldem wypełniają brzuchy. Znaczna część krajów im uległych medialnie zaczęła ich naśladować, łącznie z nami. Były ciekawe filmy dokumentalne z lektorami czytającymi teksty. Teraz okupują połowę odcinka najczęściej amerykańskie gadające głowy (czasami od rzeczy). Żeby było jeszcze lepiej, to wyprodukowali całe serie, liczące po kilkadziesiąt odcinków. Internet już jest przez amerykańskie publikacje opanowany całkowicie. Tłumaczone są automatycznie, a jak nie, to możesz kliknąć w „przetłumacz" i gotowe. Dodam tylko, że nie wszystkie da się przeczytać. To jakby nie nasz język. Nie będę się na ten temat rozpisywał, bo podpadnę. Narzekam, ale znowu: nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Tyle się naoglądałem, że już wystarczy. Rezygnując z oglądania tych denerwujących mnie tekstów, a szczególnie filmów, będę miał czas na inne sprawy.

Trochę o obłudzie. Oberwie się wszystkim, oj, prawie wszystkim.
Największe pole do popisania się nią jest w polityce. W niej obłudnik na obłudniku stoi. Niestety, jakim był, okazuje się dopiero, kiedy z niej zrezygnował, co zdarza się rzadko, albo już przeniósł się w zaświaty. Jak tam zostanie potraktowany, nie wiem. Do nieba według wszelakich prognoz nie powinien trafić, ale będąc „zawodowym" hipokrytą, nie można wykluczyć, że i tam go przyjmą.
Na drugim miejscu umieściłbym prawników. To fachowcy wysokiej klasy. Nie znając się na prawie, uważają się za jego znawców. Każdy podpowiada, radzi, tłumaczy, wyjaśnia, interpretuje po swojemu. Jak mu akurat pasuje. Im wyżej się plasują, tym większą obłudą są „skażeni". To klasycy fałszu.

Trzecie miejsce w mojej klasyfikacji zajmują lekarze i cały Układ Ochrony Zdrowia, o którym pisałem w poprzedniej części. Wyłączam grabarzy. Ci za żyjących się „nie biorą”, co oczywiste, bo mają do czynienia tylko z nieboszczykami. A obłudnikiem można być tylko w kontaktach z żyjącymi osobnikami.
Na czwartym miejscu można by uplasować sporą część „góry” duchownej różnych wyznań. Tylko z mojego szacunku do religii nie wstawiłem ich podium. Mówią co innego, myślą co innego, a robią całkiem co innego. To klasyka obłudy. Jestem tolerancyjny nie wobec nich, tylko religii jako takiej. Zapewne jest ludziom potrzebna. Mnie to nie przeszkadza. Tylko trzeba tak żyć, jak wszelkie przykazania i zasady wiary nakazują, a nie inaczej. A to jest przez nich najczęściej nie do utrzymania.
Na kolejną pozycję wrzucam wszystkich szefów, dyrektorów, kierowników itp., których zaliczyłbym do kasty rządzących. I tych wielkich, i tych małych, na górze i na dole, mądrych i niemądrych. Nie ma to znaczenia. Znaczenie mają tylko stołki na których siedzą. Nie będę ich gnębił, bo świat przez nich urządzany jest na ich własne podobieństwo. Tu tylko tyle, a na końcu tej części trochę temat hipokryzji rozwinę.

Wielcy filozofowie, poeci, pisarze, wielcy myśliciele, fizycy, matematycy i chemicy, wielcy inżynierowie, aktorzy, reżyserzy, papieże, a także piłkarze. Chyba każdy zawód, a także zajęcie ma swoich wielkich. Jak byli wielcy, to na ogół przeszli do historii, a w niej się pogubić można już wśród wielkich. Wielkie wydarzenia, katastrofy, góry, chmury, jeziora. Wszystko jest wielkie. Czy wielcy zachwycali się bądź zachwycają wielkimi? Czy jeszcze się pamięta taką liczbę wielkich? Czy ktoś jeszcze marzy, aby dołączyć do milionów wielkich? Czy liczący się choćby w tysiącach są wielkimi? Czy wielcy to genialni? Czy o wielkich się pamięta, czy zostali zapomniani? Przeczytałem kilkanaście książek o Albercie Einsteinie. Na pewno to był wielki nie tylko fizyk, ale i człowiek. Wielu spraw w książkach o nim poruszanych nie rozumiałem. Czy trzeba wszystko z tego świata rozumieć? Nawet gdybym był wielki, to i tak bym go nie zrozumiał. Albert Camus podobno stwierdził: „Aby zrozumieć świat, trzeba czasem się od niego odwrócić.” No to się odwróciłem dawno. I nic mi to nie dało.

To, że świat jest dziwny, mówiono od wieków. Trudno mi stwierdzić, czy tak też mówili nasi przodkowie. Nawet Czesław Niemen dziwił się tym światem w jednym ze swoich szlagierów. Jeśli ten świat jest dziwny, a to prawie pewnik, to po co się dziwić bez końca niemal. Taki jest i koniec. Nikt na to nic nie poradzi. Nowe pokolenia przychodzą na ten dziwny świat i też się dziwią. Niektórzy dziwią się, że w ogóle na nim się pojawili. Inni się też dziwią, że takie istoty na niej chodzą od tylu już lat i jeszcze nie znikły, choć powinny. Ja tak np. uważam. Dziwować to się chyba nigdy nie skończymy.

Jest wrzesień 2025 roku. Ślęczę nad albumem rodzinnym. To już końcówka. Przeglądam portale internetowe o Krotoszynie. I trafiam na historię Szkoły Podstawowej nr 1 im. Powstańców Wielkopolskich. Szczególnie zainteresowałem się 1. połową lat pięćdziesiątych minionego wieku. Autor, Łukasz Cichy, opracował artykuł na podstawie kroniki szkolnej. Zaznaczył, że w niektórych latach są luki. No to ja właśnie w taką lukę wchodzę. Dużo mi z pobytu w szkole przy ulicy Kaliskiej „wyparowało”, ale jakieś odpryski zachowały się. Jest marzec 1953 roku. Odszedł nieodżałowany dyktator (dla nas był to Soso Dżugaszwili). Stało się coś bardzo tragicznego. Póki żył, trząsł przecież całym światem. Nie pamiętam jak szkoła, ale klasa była „na czarno”. Smutek powszechny. Niektórzy z nas pochlipywali. Tak było chyba w całym kraju. Nie pamiętam już, jakie było wtedy nasze, uczniów pierwszej klasy, postrzeganie go.

To, że mniej więcej w tym samym czasie dostaliśmy książeczki oszczędnościowe z kwotą 5 albo 15 złotych, jest pewne. Kto by tego nie zapamiętał? Natomiast znowu mam wątpliwości, kiedy? I tu wysilam się, zachodzę w głowę, a nawet w nią stukam. Po pewnym czasie wypadło mi z niej, że to był dar od Wodza, ale chyba pomniejszego, krajowego o inicjałach B.B. np. z okazji jego urodzin, a może z okazji innych uroczystości, których organizowano wiele. Potwierdzić mogę natomiast na podstawie świadectwa szkolnego, że w składzie grona pedagogicznego w tym czasie była Zofia Kaczyńska, opiekun naszej klasy, a kierownikiem szkoły Wincenty Szymczak. Inne ciekawostki przekażę w przygotowywanym albumie ze zdjęciami z moich krotoszyńskich czasów.

Środek wakacji 2025 w Polsce. Oto jak działa prawo w Polsce.
Pojawił się nowy minister odpowiadający za jego właściwe funkcjonowanie. Na dobry początek zawiesił niemałą gromadkę sędziów. Poza tym napomknął, że trochę pozamiata, bo nie działało tak jak powinno. Zaraz któryś z wcześniejszych ministrów prawa zarzucił mu, że działa bezprawnie. No więc obecny odpowiedział: Ja działam zgodnie z prawem, to poprzednik wielokrotnie naruszył prawo. Nie, to on popełnił przestępstwo, zawieszając prezesów sądów, rzekł „poprzednik", w związku z tym zapowiedział złożenie przeciw niemu zawiadomienia do prokuratury. Ten z kolei twardo opowiada się za przywróceniem w Polsce praworządności. Jest 1 sierpnia. Ciągniemy ten prawny wehikuł dalej. Jak zamiatać, to porządnie, więc następuje zawieszenie kolejnych „niby sędziów". W prawie czystość to priorytet. Wszystko musi być transparentne. Tu nie ma miejsca na bałagan, prawny oczywiście. Ten występujący jako już dosyć dawno „wymieciony" nie poddaje się. Zapowiada kolejne doniesienia do prokuratury w sprawie prokuratora krajowego, bowiem wcześniejsze śledztwo zostało umorzone, pouczając obecnego najwyższego „urzędnika prawnego", co jest legalne, a co nie. Dodaje, kto jest jedynym, a kto uzurpatorem. Obecnemu ministrowi przypomniał się zaraz jakiś film, z którego wynika, że to „wymieciony" wielokrotnie był na bakier z prawem. Na wszelki wypadek powiedział, że nie będzie straszył, bo „strachy to na Lachy" Spór toczy się dalej. Zobaczymy, jak długo. Według mnie to ciągnie się już od wielu lat, jak przysłowiowe flaki w oleju. Niedawno przeczytałem, że tego, który wziął się za zamiatanie, też wymietli. Za dużo na „górze" tych czyścioszków, zdecydowanie za dużo. Może chcą dać przykład tym na „dole", jak się sprząta. Z mojego doświadczenia i z historii wynika jednak, że ci „dołowi" już sprzątają od niepamiętnych czasów. Nasuwa się zatem pytanie: Kto od kogo bierze nauki? Czy one przechodzą z dołu do góry czy odwrotnie? Mnie to jest obojętne.

Pytanie zadawane AI, bo to ona teraz wskazuje gdzie możesz znaleźć właściwą odpowiedź. I tak przykładowo: Czy produkty oznaczone „Made in China" są bezpieczne? Odpowiedzi są różne, tak jak i różne towary. Ogólnie mówią, że bezpieczne, ale…No więc spróbowałem zadać pytanie, czy lekarze, do których chodzę, są bezpieczni? Stawianie takiego pytania jest moim zdaniem tak samo zasadne jak pytanie o produkty chińskie. I tu nie spodziewałem się tak wielu podpowiedzi, aż się pogubiłem. Już na tzw. wejściu na jedną zwróciłem uwagę, a mianowicie mam obserwować „Czy często myje ręce?" Pozostałych stron już nie wertowałem.

Po przeczytaniu kilkuset artykułów publikowanych na przeróżnych stronach internetowych (uważam, że jest ich za dużo i się zrobił mętlik), a także licznych opracowań naukowych poświęconych boreliozie stwierdzam:

Są tylko 2 możliwości (piszę w sierpniu 2025 roku): albo krętek boreliozy przerósł medycynę z jej wszystkimi elementami (m.in. Rzecznikiem Praw Pacjenta i Ministerstwem Zdrowia), albo medycyna nie dorosła do krętka. Można też powiedzieć językiem potocznym: krętek nabija wszystkich w butelkę. I medyków, i pacjentów. Tych drugich to jeszcze rozumiem, ale żeby tych pierwszych, znających się ponoć na wszystkim, co dotyczy zdrowia tych drugich, i też swojego? Czasami już są określani „Małymi bogami". Krętek póki co rządzi jak chce i nikt mu w tym nie przeszkadza. Swego rodzaju dyktator. A jeżeli inni uważają inaczej, to im się tak tylko wydaje, że mają rację.

Męczą się z Atlantydą, żeby nie powiedzieć pastwią się nad nią, i nic mądrego nie mogą wymyśleć. Same głupoty. I na dodatek innych nabierają na swoje fantasmagorie. A Platon, mądry człowiek, po prostu klina im zabił. Przychylam się do wypowiedzi tych, co uważali i dalej tak sądzą, że zrobił wszystkich w balona. Dlatego serial z nią się nie skończy. Dla mnie stał się już nudny i niestrawny. Jest wszakże wysoko dochodowy. Kiedyś mądrzy z łatwością nabierali głupich, bo ich było więcej (tych mądrych, a nie głupich). Dzisiaj to się zmieniło. Ci drudzy liczebnie znacznie przeważają i panoszą się niebywale. Pouczają tych pierwszych, uważając się tym samym za mądrzejszych głupków. Po tym, co piszę w *O różnościach*, niektórzy tak samo myślą o mnie. Niech im będzie.

27 lipca. Budzę się o 5.00. Wstaję, idę nastawić wodę na herbatę i ugotować jajka. Dzień jak co dzień. Witek leży na podłodze w korytarzu, a Iga na fotelu w kuchni. Na dworze szaroburo. W nocy lekko pokropiło. Wracam. Kładę się na rozłożoną na stałe wersalkę. Witek przychodzi i sadowi się koło mnie z lewej strony. Głaszczę go. Ot, takie poranne pieszczotki na dzień dobry. Pytam go, co dziś będziemy robić. Nie musi odpowiadać. Wiadomo, że on będzie spał. A ja obu przypominam co dnia: koty, wy prześpicie całe życie. Wstaję, aby zalać herbatę i jajka włożyć do zimnej wody. Wracam. Witek czekał grzecznie. Aż tu nagle wskakuje między nas Iga. Moja dłoń teraz „pracuje" na dwa koty. Pociągam po grzbietach. Witek ogon w dół, a Iga w górę. Oba lubią głaskanie po główce. Iga wchodzi na moją pierś i depcze. To jej specjalność, podobnie jak wielu kotów. Witek nie depcze, nigdy nie zauważyłem. W końcu dałem jej do zrozumienia, że musi z tą przyjemnością skończyć, bo śladów po pazurach będę miał za dużo. Tak parę minut. Witek ma już chyba dość i przeskakuje na drapak. Iga rozciąga się obok. Drapię szyjkę, kark, drobię palcami. W to jej graj. Koniec przedstawienia. Wstaję. Iga zaraz zeskakuje. Drepczę do kuchni. Bardziej odpowiada mi herbata gorąca. Dolewam śmietany. Wpycham całe jajo i dwa żółtka. Tak każdego dnia. Koty czasami śpią na kołdrze przykrytej kocem, czasami na drapaku bądź balkonie i na przytulanki, drapanka itp. przychodzą później. Wracam jeszcze, aby zasłać pościel. Ręką strzepuję z prześcieradła ewentualne kleszcze opadłe z kotów. A znajduję je wcale nierzadko na sierści, podczas przeglądów i macań ogólnych ukochanych futrzaków.

W 2024 roku poznałem na jednym z targowisk Władka starszego ode mnie o 3 lata. Skontaktowaliśmy się później telefonicznie. Przyjechał do mnie i zaczęły się wspomnienia. Rozmawialiśmy o starociach, m.in. płytach winylowych. Ta rozmowa stała się dla mnie zachętą do wspomnień. No więc teraz sporo wstecz. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych tato kupił mi adapter Karolinka. Mieszkałem wówczas w Piotrowicach przy ulicy Dąbrowszczaków, a w zasadzie przy ulicy Kościuszki naprzeciw nieistniejącej już dawno stacji benzynowej. Dom (jednopiętrowa willa) został parę lat temu wyburzony, ale sąsiedni, podobny, jeszcze stoi. Jedynym urządzeniem do słuchania w domu muzyki było radio Pionier. Stało w kuchni na krześle, przy mojej głowie, podczas spania na leżance. O nim napiszę później. Wracam do Karolinki. Była w bordowym opakowaniu. Pogrzebałem po stronach internetowych i znalazłem. To model

prawdopodobnie WW-GE-56 (b) z lat 1957–1958. Na jednej z płyt wówczas kupionych (lata 1959–1961), tzw. czterdziestce piątce (45 obr. min.) śpiewał Bogusław Wyrobek m.in. *First in Line* (utwór Elvisa Presleya z 1956 roku).
W 1963 roku, mieszkając w Ligocie (po przeprowadzce) siostra zafundowała mi magnetofon Melodia. Jak dziś pamiętam, pierwszym utworem nagranym na taśmę szpulową był przebój Beatlesów *She loves you*. Nagrywałem z UKF, a było to radio Karioka. Mieliśmy też inne radio (Stolica), ale nie było w nim fal ultrakrótkich. Musiałem zawsze pilnować w radiu tzw. oka, aby było maksymalnie rozszerzone, do czego służył jakiś prosty kabel, ciągle przestawiany w odpowiednie położenie. Taśmy wówczas kupowane były oznaczone C i CR (lepsze). Ważne były głowice magnetofonowe odpowiednio ustawione zwłaszcza w wersji czterościeżkowej. Nagrywać i odtwarzać można było na dwóch prędkościach (9,5 i 19 cm/sek). Przegrywałem, co lubiłem. Muzyka popularna z lat mniej więcej 1955 do 1966 to moja ulubiona. Ukształtowała moją wrażliwość muzyczną ze względu na jej melodyjność. W 1. połowie lat siedemdziesiątych, mieszkając na zamku w Toszku kupiłem magnetofon Grundig ZK 140 T, ale o nim i kolejnych gramofonach i magnetofonach w następnej części.

W tej części coś mnie wzięło na tematy muzyczne. Słuch mam taki sobie, jak dla mnie, wystarczający. Gdy w połowie lat pięćdziesiątych usłyszałem w radiu Elvisa Presleya, to zaniemówiłem. Zakochałem się w nim zaraz. Może nie w nim, ale w jego głosie i piosenkach. Wtrącę, że w tym czasie był przystojniachą. Dziewczyny za nim szalały. Zauroczył je też nie tylko licznymi przebojami, ale również charakterystycznymi pląsami na scenie, na widok których mdlały. Ja akurat z tego powodu nie traciłem przytomności. Co zaśpiewał, to musiałem nagrać na magnetofon. Z płytami było kiepsko. Kupić ich raczej u nas nie można było, choć niektórzy szczęśliwcy je posiadali. W 1961 roku, a może nawet wcześniej, mnie i paru kolegom dane było słuchać jednej z nich w mieszkaniu Rudka, też jego fana. Płyta zatytułowana *Elvis is back* to same hity, choć wtedy takiego słowa nie wypowiadaliśmy. Elvis był w tym czasie w znakomitej formie. Tak ciągnął gdzieś do połowy lat sześćdziesiątych. Potem było coraz gorzej. A to, co śpiewał w latach siedemdziesiątych, już mi się nie podobało. Skończył marnie, jak wielu artystów przed i po nim, więcej po nim. Szczegółów dowiedziałem się z książki pióra Johna Parkera *Elvis Presley: Kto zabił króla?*

Chcę teraz powrócić do słów w języku polskim, o które tak zapalczywie zabiegają panie – przynajmniej niektóre – aby poróżnić się z panami. Włączam się do dyskusji. Jak zwykle krótko. W języku potocznym mówi się np. durna baba. O mężczyźnie po prostu dureń, czasami durak (to z ruska). Proponuję, aby kobietę nazywać durnia albo duraczka. Zamieniamy dwa słowa w jedno. Można „bezpłciowo" powiedzieć durna osoba, ale to dosyć dziwne określenie. Gdyby odwrócić i tworzyć męskie od żeńskich to przykładowo, archeolożka, a ja bym był archeolożkiem. Łoł. Bardzo mi się podoba.
Na razie panie drążą przysłowiową skałę, tzn. szarżują zawodami. Na co je jednak stać, to zobaczymy jeszcze. Kto na te feminatiwy pozwolił? Niewiasty trzeba trzymać krótko. Tak było do tej pory z wyjątkami. Jak się je rozpuści, to zaczną się bić. Już się rozbijają między sobą, ale wkrótce, jak je znam, zaczną się bić z nami, mężczyznami, i to nie tak skrycie jak do tej pory, np. w domu, ale otwarcie na zawodach. Czuję, że to się niedługo zacznie. Niezły biznes. Niejedna by powaliła niejednego. Trzeba oficjalnie zacząć, a nie po kryjomu okładać osobników płci męskiej, jak czasami do tej pory, i udawać, że się jest płcią słabszą. Zacząłem delikatnie, a skończyłem na bijatyce. Samo życie.

Trafiłem na listę 40 najbogatszych Polaków przed „40”. Odczuwam kolosalny niedosyt, więc proponuję utworzenie kolejnych list, a mianowicie: przed 20, 30, 50, i tak co dziesięć lat (z planami na roczne listy, a nawet po setce). Interesująca byłaby też lista tych, którzy dysponują milionami, a może miliardami przed 10 rokiem życia. Posunąłbym się jeszcze dalej i opublikował listę nienarodzonych, a już mających na koncie miliardy.

Co to się porobiło? Jedni nie mogą patrzeć na Rafała Trzaskowskiego, a inni na Karola Nawrockiego. Wychodzą nawet na ulicę, aby ich potraktować wyzwiskami w tę i tamtą stronę. Niektórzy, jak Donald Tusk zaczyna mówić, wyłączają radio albo telewizor, a jak zaczyna Jarosław Kaczyński, podkręcają głos na całego. Zwolennicy Tuska odwrotnie. Jerzy Owsiak już się chyba przyzwyczaił do permanentnych pochwał, chociaż nie może się opędzić od znacznej liczby nienawistnych mu uwag, a nawet gróźb. Biedny Roman Giertych ledwie słania się na długich nogach, dostając ciosy poniżej pasa, ale też z wdzięcznością słucha słów poparcia. Hołownia gimnastykuje się intensywnie, gibiąc się raz w lewo, raz w prawo, z powodu razów zadawanych właśnie raz z prawej, a raz lewej strony. Jak on to wytrzyma? Da radę, bo po codziennych wygibasach w domu i w sejmie jest jak z gumy. Andrzej Duda dostał tyle kopniaków, że już siniaków nie może się doliczyć, i tyle razy go głaskano, że miejsc na rumieńce z tego powodu mu zabrakło. Zejście ze sceny politycznej przyjmie chyba z ulgą. Nie jestem tego jednak pewny. Pawła Kukiza tak już schłostano, że tylko od czasu do czasu pojawia się w mediach, ku uciesze swoich fanów. Włodzimierz Czarzasty ze spokojem kręci głową, uśmiechając się na lewo, nie ryzykuje jednak spojrzeń w prawo, aby nie być źle widzianym. Joanna Senyszyn owinięta pokaźnymi koralami próbuje to wykorzystać, znając słabość części pań do nich, ale te nie kwapią się na nie nabrać. Moda jest teraz inna.

Które z prań dzisiejszych jest najbardziej rozpowszechnione. Co się stało, że wszyscy wzięli się za ostre pranie? Myślałem, że powodem prania jest zawsze brud. Zawsze się mówiło pierzemy brudy. No bo co innego. Pomijam skrajnych czyścioszków. Ci to piorą, czy trzeba, czy nie. To obecne ogólnoświatowe pranie przeszło w jakąś dziwną rozrywkę, manię, nie wiem, jak to nazwać. Gdybym miał je wrzucić do szufladki, zatytułowałbym ją: ulubione. Pranie rzeczy nie sprawia trudności, ponieważ środków piorących jest aż nadto dużo. Skutków ubocznych też sporo. Specjalnie się nimi nikt nie przejmuje. Do czasu. Bardziej niebezpieczne jest pranie psychiczne. Tu możliwości są przeogromne, bowiem praniem kierują mózgi, i to nawet nie takie zwykłe, lecz potężne, wybitne, wyspecjalizowane, czyli automatyczne.
Gdy wchodzę w Google, to ten przechodzi z jednego prania w drugie. Tego jeszcze mu za mało, więc wpuszcza między nie różne dodatki. Mam na myśli wszędobylskie reklamy. To wprawdzie dodatek do podstawowego prania, ale razem z nim je wzmaga. Można te prania rozdzielić, posługując się instrukcjami do zwykłych automatycznych pralek, na wiele. I tak podstawowy program to pranie mózgów. Ale ileż w nim rozgałęzień. Połapać się nie da. Kiedy takie pranie się zaczyna? Lektura internetowych nowin pokazuje dobitnie, że niemal od urodzenia. Kiedyś wielu możliwości nie było z powodu dosyć kiepskich, w porównaniu z dzisiejszymi, mediów. Te w XXI wieku weszły w fazę wielkiego rozkwitu. Piorący jeszcze dobrze nie skończyli prać tradycyjnie, a już wprzęgają do właściwego prania automaty. Czy będą one lepiej prac od klasycznych, czyli ludzkich mózgów. Inaczej, czy mózg człowieka będzie lepiej wyprany „zwykłym” sposobem czy przy pomocy automatu?

Zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że przegrana Rafała Trzaskowskiego jest karą za nierozliczenie PIS-u przez Platformę Obywatelską. Cóż tu można dodać. Jednak dodam, że pierwsi rozliczają ciągle drugich, a drudzy pierwszych. Na horyzoncie już pojawiają się tacy, którzy chcą rozliczać i pierwszych, i drugich.

Mówią, że o zmarłych należy mówić albo dobrze, albo wcale. Niezłe to, prawda? O ile pamiętam, to ta sentencja ciągnie się od czasów starożytnych. Ja tych czasów nie pamiętam, ale „ciągnę" za innymi o nich piszącymi. Tak sobie pomyślałem, ileż to już razy wiąże się początek czegokolwiek ze starożytnością. Wszystko już wtedy było, a teraz rozwinęło się do gigantycznych rozmiarów. Jednego jestem pewien. Aby mówić o nich dobrze albo wcale, tak sobie życzą wszystkie szachraje i im podobni. To oczywiste, że nie chcą, aby o nich pisać czy ich wspominać źle. I niektórzy, o dziwo, temu przytakują. W pewnym sensie to chcą być zrównani po śmierci. Czyli uczciwi to tacy sami jak nieuczciwi. Pod tymi określeniami rozumiem ich szerokie znaczenie. Dla mnie łobuzka czy łobuz (znowu pod łobuzką czerwony wężyk, a pod łobuzem nie, tak jakby łobuzka to niepoprawnie, błędnie) jest taki sam przed zejściem z tego świata, jak i po zejściu. W dzisiejszym, medialnie nieskończonym świecie, to im się nie udaje. Pełno jest doniesień o ich niecnych czynach przed zejściem. Jak widać wielu z tych „zeszłych" nabroiło za życia, ile się dało, ale skrzętnie było to ukrywane. Dopiero wtedy, gdy przenieśli się na tamten świat (pytanie tylko, w którą jego część), nie mieli już nic do gadania, i inni wzięli ich na język. Pomylili się chyba, forsując za życia pogląd o unikaniu złych komentarzy o nich. A tu wyszło wszystko na jaw.

Końcówka lipca. Włączam komputer rano i na pierwszym miejscu „Sytuacja pogodowa w Polsce". Czy nie lepiej byłoby „Pogoda w Polsce".

Czy ktoś się zapoznawał z przepisami? Nie tymi dotyczącymi setek potraw i ciast, ale takich zwykłych targających naszym codziennym życiem. Jeszcze trochę, a człowiek nie będzie mógł się ruszać. Dokładają ich codziennie, jak kucharze przypraw, aby uszczęśliwić głodnych, uczynić sytych. Tylko czy nie jesteśmy już tymi paragrafami przesyceni? Przewinęło mi się stwierdzenie, że jakaś tam przyprawa rujnuje zdrowie. A czy te miliony już przepisów prawnych nie rujnują go? Można powiedzieć, że dawno już podkopały, a nawet zniszczyły zdrowie niejednego „zwyklaka" (nie prawnika). Ktoś inny powie, że to specjaliści od paragrafów nadwątlają zdrowie pozostałych. Coś prawdy w tym jest. Niemniej można też przyjąć, że w pewnym stopniu nadwyrężają też swoje. Który z nich przez te prawne „wywijasy" zdoła przebrnąć, nie narażając się konkurencji koleżanek i kolegów po fachu?

Świat nakazów i zakazów nam dziś nastał, także ostrzegania, straszenia, narzucania innym swoich poglądów i przeróżnych głupot itp. Wszystkie one wywołują nerwice. Opędzić się od nich nie da. I nie chodzi mi o np. zakazy religijne czy prawne albo obyczajowe, ale o takie zwykłe, powiedziałbym internetowe, albo inaczej medialne. Klikniesz gdziekolwiek i zaraz w oko kłuje. A wszystko, co dotyczy zdrowia, wysuwa się na pierwsze miejsce. Tam czarują, królują znawcy zarówno chorób, jak i zdrowego odżywiania. Ale proszę zwrócić uwagę. W ciszy, za plecami, bardzo intensywnie pracują całe tabuny zawodowców z ochrony zdrowia napędzających pozostałych, całkiem już otumanionych nieszczęśników do aktywnego działania. To producenci leków, suplementów i całej masy środków chemicznych służących uzdrawianiu i zabijaniu nas. To jest wielki biznes. W szranki może stawać tylko z przemysłem zbrojeniowym. A stworzyło go samo życie. Rozwijał się od początku, narastał, rozszerzał się, aż powstał nowotwór, z którym mało kto daje sobie radę.

Jeszcze trochę o zakazach. Jest ich już dużo, a zanosi się na jeszcze więcej. W czerwcu chodziłem po Siemianowicach Śląskich i robiłem zdjęcia. Nieoczekiwanie na ogrodzeniu jednego z zakładów zauważyłem „ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA". Dawno już takiego nie widziałem. Trochę ich było do końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Później zaczęły znikać. Wydawało mi się, że pozdejmowano wszystkie. A teraz wracają do łaski. Czyli wraca w pewnym stopniu PRL. Zatrudniono do tych spraw zapewne prawników, a ci jak zwykle się wyżywają. Chętnie obwiesiliby wszystko, co się, da tabliczkami o zakazie fotografowania i wieloma innymi.

Ostatnio przewinęła mi się nazwa choroba otyłościowa. Napisano „choroba otyłościowa jest chorobą przewlekłą" Co to za nazwa? Przecież do tej pory to otyłość była znana jako choroba. Jeszcze trochę, a dowiem się o chorobie rakowej, zamiast raku i setkach im podobnych. Jeśli choroba otyłościowa to otyłość, to po co dodawać do otyłości słowo choroba?

„Cała prawda" aż błyszczy w wielu nagłówkach i tytułach książek, filmów, artykułów wrzuconych do sieci. Np. cała prawda o zdrowym odżywianiu. Jakiś bezczelny typek z tym wyskoczył. W tym zakresie to każdy ma swoją prawdę i gdyby ją puścił w obieg medialny, to byłoby kilka miliardów „prawd", czyli katastrofa.
Są jeszcze inne „Całe prawdy": o alkoholu, antybiotykach, mięsie, życiu w sutannach, zarobkach w Polsce, tłuszczach, rodzinie, fast foodach, zdrowej żywności, starych ludziach, świecie, Zielonym Ładzie, Szekspirze, USA (nie zaglądam, bo o tym kraju mam „swoją prawdę), mleku, zbrodni, metalowcach, Karolu Nawrockim i wielu innych. Wspomnę jeszcze tylko o YouTube. Tam nawet zmieściła się „Cała prawda o całej prawdzie", chociaż nie wiem, czy faktycznie, bo nie zaglądałem. Pozostałe „prawdy" może każdemu ujawnić wszechwiedzący jak zwykle Google.

Jest 3 sierpnia 9.30. Wstaję od komputera i idę do kuchni. Patrzę, a tu myszka biegnie na podłodze w kierunku okna i przypatruje się jej Iga. Myszka wpadła za szafkę i w otwór. No i jest nie do złapania. Może harcować wzdłuż całej ściany, aż do zlewozmywaka. Miejsca ma dużo. Zapewne gdybym wszedł parę minut później, tobym jej nie zobaczył i nie wiedział, że w kuchni jest myszka. Co tu robić? Wziąłem jedną podstawkę, nasypałem pszenicy, ryżu i postawiłem przy otworze, a drugą pod zlewem, tu dołożyłem pojemnik z wodą. Znowu mam problem. Co dalej? Wróciłem pisać na komputerze. Jest dokładnie 12.28. Igi nie ma. Wyszła kilkanaście minut temu na dwór. Wychodzę do dużego pokoju, zerkam na prawo do kuchni, a myszka biegnie truchtem na korytarz. Zatrzymała się. Patrzy na mnie niezdecydowana co dalej. Szybko aparat i zdjęcie. Doszła do szafki i w kącie do niej przytuliła się. Łapię torebkę foliową. Powoli zbliżam rękę do niej, cap i mam. Owinąłem ją, wziąłem aparat i na dwór. Zaniosłem nieopodal w ustronne miejsce przy płocie sąsiedniej posesji Wyłożyłem z folii. Siedziała chwilkę. Szybko zdjęcie. Mówię, śmigaj do ogródka. No i ruszyła w dół za płot. To dobry kierunek. Tam będzie bezpieczna. Zatrzymała się. Jeszcze raz pstryknąłem. Chyba już jej Iga nie dopadnie. Powoli podreptała w głąb ogrodu, w którym jest pełno chaszczy. Co za szczęście w nieszczęściu. Dokładam 3 fotki. Igę zaprosiłem wieczorem na rozmowę.

Końcówka tej części będzie jak wcześniej obiecałem, o obłudzie. Na obłudzie świat stoi. Obłudą pachnie wszędzie. Cały Internet jest nią naszpikowany. Nie są od niej wolne żadne dziedziny życia. Obłuda jest związana z człowiekiem od początku. Jednak to, co się obecnie wyrabia w mediach, przekracza wszelkie granice. Trzeba być niezwykle odpornym, żeby się przed nią bronić. Wyziera z każdego miejsca. Nie chcę tu poruszać hipokryzji „politycznej", bo od niej już nie pachnie, a śmierdzi. I niestety, musimy to wszystko wąchać każdego dnia. Wielu już tych obrzydliwości mam powyżej uszu, ale nie wiadomo, co robić, aby nie mieć z nią do czynienia. Teraz ograniczę się do ataków na tzw. medycynę alternatywną. Spór między przedstawicielami tych jakby dwóch „medycyn" nabrzmiewa. Lekarze ogłaszają, że „to cyniczna pogoń za zyskiem" i podają przykłady m.in. rozmaitych znachorów, twierdząc, że ich „terapie" są nieskuteczne i często „tragiczne w skutkach". Nie wspominają o innych terapiach medyków alternatywnych, kolegów po fachu, bywa, że opartych na nauce, podobnie jak ich metody, i bardziej skutecznych od tych przez siebie promowanych (a przede wszystkim nieszkodzących). Licytowanie się, przebijanie, która medycyna jest lepsza, nie ma sensu. Ważne jest to, aby nie leczyć (a tak wszyscy robią), a wyleczyć chorego. Nie twierdzę, ze metody „znachorskie" należy rozpowszechniać. Powinni się przedstawiciele medycyny konwencjonalnej przyjrzeć jednak swoim metodom leczenia, które równie często są nieskuteczne. Tu, niestety, mają klapki na oczach. Tak jak i ci pierwsi podążają tą samą drogą, czyli pogonią za zyskiem. I jedni, i drudzy nie są wolni od tej przyrodzonej człowiekowi cechy. Trudno mi tu rozróżniać, która obłuda jest bardziej wyrafinowana. Tak to już w życiu bywa. Obłuda jest obustronna, tak przynajmniej ją widać, patrząc na postępowanie jednych i drugich. Ci dyplomowani medycy od metod konwencjonalnych terapii zatracili się już dawno w gonitwie, pożądaniu, czy dążności do zysku. Oczywiście nie wszyscy. Rozbudowali liczne poradnie, prywatne gabinety, nazywając część z nich „Instytutami", w których zdzierają pieniądze z chorujących i ostatnio także niechorujących ludzi (w ramach m.in. profilaktyki i koniecznych badań). W znacznej części

leczenie w nich nie przynosi pożądanych skutków (przynajmniej jeśli chodzi o pacjentów), bo dla nich samych jest niezwykle zyskowne, a o to przecież chodzi. Co mają robić przeciętni Polacy, jakoś tam z biedą wiążący koniec z końcem. Szukają pomocy gdzie się da. Można stąd wysnuć wniosek, że sami medycy od tej „prawdziwej i jedynej medycyny" naganiają ich w sidła tych niekonwencjonalnych (w całej ich złożoności), a potem rozdzierają szaty, płaczą, krytykują, próbując ich zniszczyć ostatecznie. To jest właśnie klasyczna obłuda. Konflikt ten nie skończy się nigdy, dopóki człowiek będzie zasiedlał Ziemię. W obu, że tak powiem, medycynach są i tacy, i tacy. Wybór odpowiedniego leczenia należy do Polaka-szaraka. Jest trudny, nie ukrywam, i najczęściej zależy od szczęścia, bo wiedza w tej materii przydaje się w niewielkim stopniu. Raczej intuicja, doświadczenie i inne tego typu sprawy. Kończę, bo się zaczynam denerwować, a przecież stres nie służy zdrowiu. Co do tego wszyscy są zgodni, ale ludziom pomóc w jego pozbyciu się nie potrafią. On też, jak obłuda, „siedzi" prawie w każdym z nas. Za dużo się naczytałem, nasłuchałem, napatrzyłem, abym mógł przejść obok spraw tu zaledwie dotkniętych obojętnie. Oczywiście nic to nie da ani tym bardziej nie przyczyni się do zelżenia obłudy. Ale tak „wyrzuciłem z siebie" to, co o niej myślę, w odniesieniu do zaledwie skrawka ludzkiej działalności. Kawałka, ale jakże ważnego, a równocześnie bardzo smutnego w swojej wymowie.

Jest wiosna 1966 roku. Wrocław, mieszkanie przy ulicy Pomorskiej, piąte piętro w dużej kamienicy z oknem wychodzącym na skwer. Rysiek brzdąka na gitarze. Nagle puk, puk. Wchodzi do środka starszy facet w roboczym ubraniu. Chwilę gadamy. Poprosił o gitarę i zaczął się zupełnie nieoczekiwany koncert Rosjanina, który remontował mieszkanie naszej gospodyni. Trwał około godziny. Wybrzmiewały piosenki rosyjskie, z tekstami czasami spolszczonymi, czasami pół na pół Nie mogliśmy uwierzyć. Grube zabrudzone paluchy, zaprawione w murarskiej robocie, uderzały w struny gitary z dużą muzykalnością. Jeszcze dzisiaj od czasu do czasu nucę początkowy fragment piosenki śpiewanej na słynną melodię *Pamiętasz Capri…* Oto on:
Pamiętasz Zośka, jak żarłaś cukierki,
Kakije wino ty chliała co nocz,
A teraz nie chcesz padniatsja sukienki,
Ach ty małpo cholierna, psiakrew.

Napisał latem 2025 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright 2025 by Eugeniusz Tomczak